

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 3.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{3}{15}$ października 1859.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Krzysztof Arciszewski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Malborg (z trzema drzeworytami). — Żywoć i przygody Imci pana Józefa Gabryela Gozdzińskiego, wojewodzica podlaskiego (dokończenie). — Kronika sztuk pięknych. — Korrespondencya Tygodnika z Rzymu. — Antoni Lesznowski †. — Rozmaitości. — Korrespondencya od redakcyi. — Historia jedy-naczka w 32 obrazkach (z ósmią drzeworytami). — Szachy i rebus.

KRZYSZTOF ARCISZEWSKI.

Arciszewski należy niezaprzeczenie do ludzi naj-głośniejszych w swoim czasie przygodami życia, zasługami i znakomitemi czynami. Był to jeden ze sławnych rycerzy XVII wieku, pułkownik, dowódzca wojsk lądowych hollenderskich kompanii zachodnio-indyjskiej w Brazylii, generał artylerji tamże, a następnie generał całej artylerji koronnej w Polsce; przytém człowiek uczony, waleczny i przedsiębiorczy, chociaż charakteru burzliwego i niespokojnego. Cały bieg jego żywota od młodości był szeregiem szczególnych przygód, które tutaj chociaż pokrótce opowiedzieć zamierzamy.

Ze starożytniej szlacheckiej rodziny, ojca Eliasza, gorliwego socynianina, urodził się Krzysztof Arciszewski w Rogalinie, w dawniej Wielkopolsce, roku 1593. Po ukończeniu nauk oddany na dwór księcia Krzysztofa Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, jednego z mężów co oświecili panowanie Zygmunta III i Władysława IV, a przytém opiekuna i przewodcy wszystkich różnowierców w Polsce, odbywał z nim świetne wyprawy przeciw Tatarom i Szwedom w Inflantach, gdzie wielki ów hetman z taką walczył sławą. Radziwiłł, jak się z listów jego świeżo wydanych pokazuje, używał naszego Arciszewskiego do czynności wojskowych, zupełnego zaufania jego potrzebujących; czytamy bowiem w układach o pokój ze Szwedami w r. 1622, że Krzysztof Arciszewski miał wtedy powierzone najdrażliwsze polecenia i zawiadywał służbą policyi wojskowej.

Gdy po ukończeniu kampanii wrócił w rodzinne strony, dopuścił się czynu straszliwego, który wywarł wpływ na całe jego życie. Rzecz się tak miała. Ojciec jego Eliasz był właścicielem miasta Szmigła, którego część, zmuszony potrzebą, sprzedał Kacprowi Brzeźnickiemu, adwokatowi przy trybunałach, człowiekowi bardzo zręcznemu i bogatemu. Nowonabywca, lubo miał sprzedaż w grodzie sądowym przyznaną, nie zapłacił jednak Arciszewskim wszystkiego, lecz tajnym układem i przysięgą na słowo

zobowiązał się umówioną sumę dostarczyć, skoro tego zażądają, a po śmierci zapisać im w testamencie wszystko. Gdy atoli w zdarzonym razie Brzeźnicki nie chciał słowa dotrzymać, pozwał go Arciszewski w roku 1613 do Piotrkowa.

W sprawie tej, mając do czynienia z biegłym i przewrotnym prawnikiem, stracił cały majątek, a palając zemstą, synom swoim wymierzenie sprawiedliwości poruczył. Wtedy to właśnie Krzysztof wraz z bratem wrócili z wojska do domu, i widząc się ogolconemi z majątku, postanowili młodzi zapaleńcy gwałtem zmusić Brzeźnickiego do wykonania obietnicy. Jakoż z licznym zbrojnym poczem zasadzkę na niego uczyniwszy, pod wsią Ponikwem, między Kościanem a Szmigłem, przejeżdżającego zatrzymali. Napróżno Arci-



KRZYSZTOF ARCISZEWSKI.

szewski groźbami wymódcz na nim usiłował, aby mu majątek lub pieniądze o ldał: Brzeźnicki odpierał to żądanie i w kłótni zamordowany został. Umierając wezwał go na sąd boski, poczem zabójca konającemu gardło przerznął, język wyrwał i nożem do szubienicy przybił.

Spełniwszy tę zbrodnię, która w owych czasach nie tak jak teraz w ogóle i przez samego winowajcę była

uważaną, z obawy następstw, Krzysztof wraz ze swym bratem opuścili kraj w roku 1623. Uczynił to także snadź z porady swego opiekuna, księcia Radziwiłła, który przy tej sposobności przeznaczył go na korespondenta swego za granicą, aby mu wszystko co się tam działo donosił, zlecenia jego wykonywał, a zarazem służby wojskowej od obcych się uczył. Pobierał on na to zasiłki pieniężne, chociaż zaraz do gwardyi hollenderskiej się zaciągnął i od najniższych stopni się dosługując, znajdował się na ówczesnych wyprawach wojennych. Ztamąd Arciszewski pisywał do Radziwiłła cyframi i z Piotrem Kochlewskim, sekretarzem tegoż księcia, co w tymże samym interesie bawił za granicą, miał sobie powierzone rozmaite zlecenia, a między innemi zapewne i te, które tyczyły się następstwa na tron Polski Gastona księcia orleańskiego, brata króla francuzkiego. Radziwiłł bowiem nie bez słuszności podobno był posądzany o znowy z cudzoziemcami i czynnie należał do tych, co w myśl kardynała Richelieu, starali się książąt francuzkich wprowadzić do Polski. Zabiegi te i stosunki odkryte były królowi Zygmunto-owi III, który mając o tém doniesienie, w nagłych listach zażądał w r. 1626, od infantki hiszpańskiej Izabelli, regentki Belgji, wydania Krzysztofa Arciszewskiego i Piotra Kochlewskiego jako przekonanych o zbrodnię stanu. Nie były to żarty; uprzedzony więc o niebezpieczeństwie, nasz Krzysztof umknął do Francji, przystał tam do wojska, był przy oblężeniu Rochelli w roku 1628 i w innych bitwach, które Francuzi z Hugonotami i Anglikami toczyli. Uniknął więc tém samym poszukiwań Zygmunta III, a gdy po ukończeniu francuzkiej wyprawy wrócił do Hollandyi, mając zagrodzoną drogę do powrotu w strony rodzinne, (tocząca się albowiem sprawa o zabójstwo ukończyła się wyrokiem skazującym go na śmierć), ścigany przytém przez listy gończe króla Zygmunta III, Arciszewski przyjął służbę w wyprawie brazylij-skiej, silnie wówczas przez towarzystwo kompanii Indyj zachodnich zbrojną ręką wspieraną, do której i stany hollenderskie niemniej czynnie dopomagały. Zmienił wtedy wyznanie socyniańskie na kalwińskie, aby zyskać zaufanie i stopnie u gorliwych o wiarę swoją Hollendrów. W roku 1629 odpłynął z Hagi z wojskiem na ten cel

przeznaczonem. jako kapitan, przybył do Brazylii na początku następnego roku i zaraz w tymże samym stopniu należał do wycieczki na wyspę Itamaraca, dla której łatwiejszego zdobycia, gdy wzniesiono nową twierdzę Orange, Arciszewski mianowany został jej komendantem. Czynność jaką na tém stanowisku rowinał, wycieczki które z korzyścią wykonywał, wkrótce zjednały mu tam powszechną sławę i wpływ jego na

dalsze wypadki utrwaliły. Za jego to poradą zburzono fortyfikacje Olindy, co w skutku tak było użytecznym, iż zarząd miejscowy, oceniając jego zdolności wojskowe, nagroził go stopniem majora. W tym czasie sława waleczności i czynów naszego rodaka doszła już była do Polski. Właśnie Władysław IV wstąpił na tron, a pragnąc w potrzebach krajowych posiadać głośnego już imienia rycerza, wezwał Arciszewskiego do powrotu. W skutek tego przybył on w roku 1633 do Hagi; ale kompania tak wysokie miała wyobrażenie o niepospolitych jego zdolnościach, iż wszelkimi sposobami starała się go w służbie swój zatrzymać. Oprócz wieśćwietnych obietnic, dano mu stopień pułkownika i mianowano głównym dowódcą wszystkich wojsk w Brazylii. Wrócił tam przeto w r. 1634 z nowymi posiłkami i wnet najczynniejszy miał udział w działaniach wojennych: zdobył miasto Parahibę (4 grudnia 1634), gdzie 99 dział dostało się zwycięzcy, i zmusił do poddania potężną twierdzę Arrajal w czerwcu 1635, które to ostatnie zwycięstwo szczególną go okryło sławą. Z równą walecznością wziął następnie zamek Nazareth, gdzie Piotr Gamba, dzielny wojownik, dowodził, i wpłynął na szczęśliwe ukończenie oblężenia Porto-Calvo, inną, niemniej ważną twierdzę. W walnej bitwie przy Perifucro zbił na głowę Hiszpanów (18 stycznia 1636) i tu naczelnym ich dowódcą, don Louis de Rozas, utracił życie. Zajął potem ważne stanowisko i miasto St. Laurent, a posuwając dalej świetne swoje zwycięstwa, ścigał ciągle i wszędzie Hiszpanów i Portugalczyków, staczał szczęśliwe z nimi walki, znosił ich razem lub częściowo, niemalą ztąd sławę i korzyści odnosząc, jak o tém obszernie współcześni historycy holenderscy opowiadają.

Przy tylu wojennych powodzeniach, brakowało jednak zarządowi kompanii w Brazylii jedności w działaniach, tak co do spraw cywilnych jako i wojskowych. Uskarżał się na to często Arciszewski w raportach składanych władzom w Holandyi, wskazywał sposoby zaradzenia, wymagał wyznaczenia jednego wodza, któryby umiejętności wojskowe ze sprawami polityki i rządzący łączyć potrafił. Wybór padł na hrabiego Jana Maurycyego de Nassau, jednego z najwaleczniejszych rycerzy owego czasu, ale dumnego i niecierpiącego żadnej obok siebie wyższości. Skoro więc hrabia Maurycy przybył do Brazylii, Arciszewski, jakkolwiek miał ważny udział w powtórnej wyprawie na Porto Calvo (1637), wkrótce jednak ujrzał że go we wszystkich na bok usuwano, bez względu na położone zasługi i stanowisko które przedtém zajmował. Gdy zatem w tymże samym czasie doszedł go drugi list króla polskiego, w którym ten usilnie domagał się aby wrócił do kraju, hojnie mu za to nagrody przyrzekając, Arciszewski zażądał uwolnienia i wyjechał z Brazylii w grudniu 1637. W Amsterdamie przyjęto go jaknajlepiej, otoczono czcią niezwykłą, a dyrekcyja kompanii obdarowała go złotym łańcuchem rycerskim do noszenia na szyi, z medalem na pamiątkę czynów jego w Brazylii umyślnie dla niego bitym.

Nadto wydrukowano wtedy pochwalne opisy jego czynów wojennych i wrytowane wizerunki, podług których i załączony drzeworyt został wykonany; uczeni zaś i artyści starali się opisywać i przedstawiać rycerza, co imię swoje tak chlubnie w oddalonych krajach dał poznać. Nie brakowało też Arciszewskiemu na ofiarach i wezwaniach do służby od rozmaitych monarchów. Szczególniej członkowie kompanii zachodnio-indyjskiej starali się zatrzymać go u siebie, zwłaszcza iż rządy hrabiego de Nassau nie bardzo im dogadzały. Na przedstawienie tedy księcia Oranii i zgromadzenia dwunastu dyrektorów kompanii, Arciszewski mianowany został 18 sierpnia 1638 generałem artylerji, czyli głównym dowódcą całej artylerji w Brazylii, oraz pułkownikiem 15 kompanij piechoty, z płacą 12,000 ówczesnych złotych holenderskich rocznie, tajnie zaś dano mu instrukcyję upoważniającą do nadzoru nad czynnościami hrabiego de Nassau i obietnicę, iż miejsce jego wkrótce zajmie. Takimi widokami złudzony, przyjął napowrót służbę, a królowi polskiemu wymówił się w liście do niego pisanym, tłumacząc swój postępek wiadomościami jakoby wyznanie jego religijne było zbyt przesładowane w kraju, aby mógł z bezpieczeństwem wracać.

W tymże samym roku, w grudniu, odpłynął znowu Arciszewski do Brazylii, lecz za ledwo tam przybył w marcu 1639 r., dawna niechęć hrabiego, zwiększona niezręcznym postępkami zwierzchniej władzy, a na-

wet samém jego wysłaniem na podobne stanowisko, tak obu ich rozdzieliła, iż przy pierwszej sposobności głównie dowodzący oświadczył, że albo on, albo Arciszewski musi ustąpić. Napróżno starano się ich pogodzić: rada miejscowa zniewolona była bez żadnego wyroku i objaśnienia odesłać Arciszewskiego tegoż roku do Holandyi, i całą tę sprawę poddać pod sąd głównej dyrekcyi. Za przybyciem swoim do Hagi podał w r. 1640 do stathudera i rady dyrektorów skargę o krzywdy swoje, a przedstawiając zasługi, żądał albo wykreślenia z akt stanów zaskarżeń, jakie na niego przesłał hrabia Maurycy, tak żeby śladu po nich nie zostało, albo też dymissyi, w którejby było wyrażone, iż ze względów politycznych otrzymuje od służby uwolnienie w Brazylii, ale że wszystko co zaszło, na czczych podejrzeniach oparte, w niczém jego honorowi ani ujmuje, ani ubliża. Rada, otrzymawszy to podanie, uchwaliła udzielić żądane uwolnienie podług innej redakcyi, i takowe wydała w wyrazach bardzo oziębłych, ogólném żegnając go zaleceniem.

Na tém się skończyły sprawy Arciszewskiego w Brazylii; przyniosły mu one cześć i sławę, lecz położone zasługi przykrością i niesprawiedliwością zostały wynagrodzone. Postępek ten był przyczyną kilkoletniej jego choroby, gdyż znękany przeciwnościami, zgrzyzotą i trudami, ciężko zapadł na zdrowiu. Wyleczył go sławny wówczas doktor Knepeliusz, z którego to powodu napisał Arciszewski i wydrukował w Amsterdamie dzieło o leczeniu podagry 1643 r., w którym, oprócz objaśnienia doznanych dolegliwości, są także szczegóły jego żywota. Przyszedłszy zupełnie do zdrowia, wrócił w roku 1645 do Polski, przyjęty łaskawie od króla. Wkrótce po śmierci Pawła Grodzickiego, objął jego miejsce jako generał artylerji, czyli jak wówczas nazywano, „starszy nad armatą“ lub armatnykoronny w 1646 r., z roczną pensyą 6000 złp. Niebawem z właściwą sobie energią i czynnością zajął się tą służbą, sporządził inwentarze stanu artylerji w kraju, opisał cekhausy w całym państwie istniejące, działa i wszelkie ryszunki wojenne, urządził dochody i wydatki, zaprowadził rejestra i t. d.

Gdy po śmierci Władysława IV nastąpiły nieszczęśliwe wojny, Arciszewski był jednym z członków rady wojennej w wyprawie przeciw Kozakom; jemu poruczoną była obrona Lwowa w r. 1648, on kierował robotami około wzmocnienia i obrony zamku w Zbarażu. Pod Zborowem otoczył obóz wałami, podług własnego planu, i usilnie zachęcał króla Jana Kazimierza do stoczenia bitwy, zaręczając iż miejsce i szyk wojska zapewniały mu zwycięstwo. Nie usłuchano go, zdanie przeciwne przeważyło; w skutku zaś zawarty został upokarzający pokój 17 sierpnia 1649 r. Tém wszystkiém zrażony, przytém schorzał i latami przyćśniony, Arciszewski żądał wtedy uwolnienia od obowiązków i otrzymał takowe dnia 4 lutego 1650 r. Odtąd usunął się zupełnie z widowni publicznej, osiadł u rodziny pod Gdańskiem i tam przez ciąg lat sześciu spokojne życie prowadząc, zmarł w roku 1656, mając lat 64. Zwłoki jego z Gdańska do Leszna, z powodu iż tam był zbór kalwiński, przeprowadzone, w dniu przeznaczonym na pogrzeb, wśród pożaru tego miasta, przez wojska polskie wzniesionego, wraz ze zbozem spłonęły. Widać że chciało przeznaczenie, aby człowiek tak szczególnego żywota i pogrzeb miał niezwyčajny.

Kronika tygodniowa.

Znam ludzi których wiosna smuci, a jesień uciesza, znam takich, którzy nie lubią dnia słonecznego, bo dla nich najweselsze myśli do głowy, największe uradowanie do serca sprowadzają dnie pochmurne i mgliste. Tacy będą mogli wkrótce zadowolić się do sytu, mija już bowiem babie lato o nitkach pajęczych i o ostatnich jasnych promieniach słońca. Cieszcie się wygładzone i wylustrowane salony, otwórzcie się na nowo i nastrójcie fortepiany, służące za szranki popisu tysiocom warszawskich domowych talentów; głosy amatorskie otrząśnijcie się z chrzypki, wesel się herbato, butersznyt skaczcie dogóry. Wasz czas nastaje, wraca pora osobliwszego zachowania waszego i tryumfów waszych; kiedy chmury zaległy słońce, kandelabry i świeczniki mogą nam się jasnymi wydawać i we-

soło przyświecać zabawom. Tak w kraju w którym światło nie rozdzieliło się jeszcze, lada gwiazda dziesiątej wielkości wydaje się oślniewającym słońcem i promienne rzuca snopy.

Ale dość tych poetycznych uniesień. Niech tam sobie niebieskie i ziemskie gwiazdy błyszczą w całej jasności swojej, nie zatruwajmy im spokoju, a wolęj wróćmy do spraw dziennych, tego powszedniego chleba, który służyć nam ma za kanwę do naszych sprawozdań.

Trzebać tedy wam wiedzieć. szanowni czytelnicy, że jak raz sto lat temu, urodził się w małym miasteczku niemieckim człek niejaki nazwiskiem Szyller, który zasłynął po całym świecie swojemi dziełami i parę razy nawet uprzytomnił się na naszym teatrze w przekładzie polskim. Owóż współziomkowie Szyllera mają obecnie zamiar obchodzić w całej Europie wielkimi festami pamiątkę jego urodzin. I Warszawa ma się także przyłączyć do tego chóru; składka na tę uroczystość zebrana już, a niepomału nas ciejszy, że komitet urządzający tę składkę, postanowił resztę pozostającą po odtrąceniu wydatków, obrócić na ustanowienie kilku stypendiów dla biednych uczniów w nowo otwierającym się instytucie muzycznym. Chętnie przyłączymy hołd nasz do cześci jaką nazwisko Szyllera w całej Europie jest otoczone; bo, jak słusznie powiedziała Gazeta Codzienna, tacy ludzie jak Szyller, nie wyłącznie do kraju swojego, ale do całej ludzkości należą i z dziejów ludzkości całej natchnienie dla siebie czerpią.

A teraz powiem wam parę słów o pewnym poczciwym krawcu, który długo szukając swojej córki, znalazł ją nareszcie na deskach teatralnych, i w rodzicielskiej swojej miłości, w miłości pełnej cichych poświęceń i serdecznej modlitwy, zaczerpał tyle natchnienia, że on, człowiek maleńkiego ducha i ubożuchnych zdolności, potrafił poprawić dzieło poety i prawdę uczucia w artystce wywołać. Charakter tego krawca z wielką prawdą i przejęciem się oddał nam pan Rychter, w obrazku dramatycznym pod tytułem *Kopiista*, przedstawionym w ubiegłym tygodniu na scenie teatru Rozmaitości. Panna Palińska w roli aktorki, córki tego krawca, raz jeszcze dowiodła nam wysoko rozwiniętych zdolności scenicznych, które w dramatach i wyższych komedjach czynią tę artystkę bardzo pożyteczną dla sceny naszej. Widać w niej ciągłą pracę i rozmyśl, a nie wszystkie młode artystki nasze grzeszą temi przymiotami. Obrazek *Kopiista* należy do najudatniejszych sztuczek francuzkich tego rodzaju na naszej przedstawianej scenie, i radzibyśmy z podobnemi często się spotykać.

Zapowiadają nam rychłe wystąpienie panny Zawiszanki, która jeszcze w bieżącym miesiącu ma dać się usłyszeć; mówią także o dwóch dramatach, mających być przedstawionemi na naszej scenie, któremi są: *List żelazny*, oryginalnie napisany przez Małeckiego, *Angelo*, tłumaczenie z Wiktora Hugo i *Chatterton*, poetyczny utwór Alfreda de Vigny, który jednym skokiem umieścił tego autora pomiędzy pierwszorzędnymi dramatopisarzami francuzkimi, przełożony na nasz język z poetycznej prozy francuzkiej, niemniej pięknym wierszem polskim przez Apollona Korzeniowskiego, autora komedyi „Dla miłego grosza“, która wkrótce, jak nas upewniano, drukowaną będzie w felietonie Gazety Codzienniej. Donosimy o tych dramatycznych nowościach jak to powiadają z dobrodziejstwem inwentarza, wiemy bowiem, że na dramata lata całe u nas czekać trzeba. Komedye i opery łatwiej się jakoś rodzą; tylko nad temi dramatami nieokreślona fatalność ciąży, i nic dziwnego że publiczność nasza coraz bardziej się odzwyczajają od nich i coraz mniej w nich smakuje. Do wszystkiego trzeba wprawy, a jak artyści od grania, publiczność zaś od słuchania odwykną zupełnie, i najlepsze chęci wówczas nie pomogą. Trzeba złemu zaradzić, póki pora jeszcze.

W tych czasach widzieliśmy przygotowany do druku dość obszerny zbiór przekładów z poetów niemieckich, dokonanych przez Ludwika Brzozowskiego. Niektóre z tych przekładów drukowane już były po piśmie czasowych. Zbiór ten ma utworzyć *Album liryczne poetów niemieckich*, a poprzedzi go wstęp o literaturze niemieckiej. Są to po większej części liryczne utwory, mało albo prawie wcale u nas nie znane. Jesteśmy upoważnieni przez tłumacza, do przytoczenia tu przekładu z Heinego, mającego się umieścić jako wstęp niejako do pieśni na czele całego dzieła.

MALBORG.

Był czas że śniłem o burzach namiętnych,
O cudnych lokach, o wiankach mirtowych,
O słodkich ustach, słowach piotunowych,
O smętnych pieśniach i melodyach smętnych.
Pierzchły już dawno te uroki senne,
Zbladł i uleciał obraz wymarzony,
Wszystko przebrzmiało szalone, płomienne,
Jeno została pieśń z cichemi tony.
Pieśni urocza, dźwięcz wiosenném technieniem,
Uroków sennych ścigaj sznur rozwiany,
A gdy napotkasz obraz ukochany,
Pozdrów odemnie płochy cień—wspomnieniem.

Innych nowin literackich niewiele; nie słyhać nawet żeby któren księgarz przedsiębrał jakibądź ważniejszy nakład, oprócz dwóch, czy trzech większych wydawnictw literackich, ogłoszonych już przez pisma publiczne. PP. Gebethner i spółka nabyli, jak słydzeliśmy, od Gazety Codziennój komedią premiowaną Józefa Korzeniowskiego, której druk już w tém piśmie ukończony został.

Musi być jednak znakomicie rozbudzona w naszej publiczności ciekawość zbadania losów przyszłych, kiedy zdarzyło nam się widzieć naraz kilka książek wróźbiarskich, nakształt owych senników, które niegdyś wychodziły w Warszawie, z wykazaniem numerów mających wygrać terno albo quaterno na loteryi liczbowej. Za to znów Wilno wynagradza nas ogłoszeniem prospektu na mający się tam drukować jakiś 8-tomowy romans p. Antoniego Rousseau.

Czytelnicy nasi znają już tego autora, z prac dramatycznych i kalendarzyka informacyjnego. Kiedy go Wilno Warszawie wydarło, milczał on długo, z wielką krzywdą dla naszej literatury, która straciła tym sposobem... punkt porównania.

Niema szczęśliwszego rzemiosła jak literackie. Gdzieindziej trzeba aplikować, terminować, uczyć się, przechodzić różne koleje lub stopnie, słowem posiadać patent, upoważnienie lub świadectwo; tutaj zaś obchodzi się jakoś bez tego wszystkiego: literat sam siebie nominuje na majstra, krewni, przyjaciele, znajomi, lub koledzy robią go znakomitym, i ot nowa wielkość krajowi przybyła, choć ta wielkość często bardzo nie zna najpierwszych nawet zasad gramatycznych, że już nie mówię nic o stylu i talentie. Kraj nasz niemało tego rodzaju samozwańców posiada, a co gorsza, znajdują oni swoje kółko czytelników, którym ich nedorzeczność przypada właśnie do smaku. I nie mówię już nawet o tych, którzy są ogólnie znani, których dzieła kupują się dlatego że są złe, żeby śmiać się z nich i poznać miarę do jakiej nedorzeczność ludzka dojść może; ale są tacy, którzy się cieszą rzeczywistą wziętością i rozgłosem, a którzy.... Ale dajmy temu pokój. Niebezpiecznieby było skromnemu kronikarzowi wdawać się w rozprawę tego rodzaju. Do takich właśnie przedmiotów wybornie da się zastosować znane przysłowie arabskie, że: „mowa jest ze srebra, ale milczenie złote.“

O samej Warszawie niewiele dziś do powiedzenia; trudni się ona obecnie przeprowadzaniem, porządkami domowemi, czyszczeniem podłóg i zakładaniem okien dubeltowych. Kiedy się to wszystko już uorganizuje na dobre, kiedy zjedzie tutaj reszta turystów zagranicznych i wiejskich dezertów, toż dopiero zacząć się przyjęcia, wieczory i zabawy, które nam niemało przysporzą funduszu do kroniki. Tymczasem zapowiadają nam teatr amatorski na korzyść ubogich w salce towarzystwa dobroczynności, a widowiska tego rodzaju zwykły się cieszyć u nas dobrém powodzeniem.

Wartoby jednak pospieszyć się z naszymi czynnościami i urządzić się czempredzej, bo straszliwe wieści czytamy w książkach zagranicznych. Oto podług p. Adhemara, znanego uczonego, za sześć tysięcy pięćset czterdzieści siedm lat ma być ogólny potop, spowodowany przechyleniem się kul ziemskiej, z przyczyny uformowania się niezwykłej masy lodów przy biegunie. Pojmujecie to zapewne łatwo, kochani czytelnicy, że ziemia przewróci koziołka, lody się roztopią i woda pochłonie wszystko. Jest przynajmniej pewna korzyść w tej straszliwej katastrofie, że po oschnięciu wód gruntu i komorne będą niewątpliwie tańsze, potop ten bowiem będzie chyba karą za ciągle nadużycia panów właścicieli domów w podwyższaniu komornego. Niechże przynajmniej teraz zniżą ceny, kiedy już wiedzą, że w każdym razie po sześciu tysiącach lat woda im te wszystkie domy zabierze.

Malborg, po niemiecku Marienburg, leżący dziś w Prusach zachodnich, regencyi gdańskiej, wznosi się na prawym brzegu Nogatu, niecałe sześć mil od Gdańska. Starożytny ten gród odległych sięga czasów. Jeszcze w pierwszym powstaniu Prusaków około roku 1244 Świętopelk, książę pomorski, wystawił twierdzę na wielkiej wyspie, w miejscu gdzie się Wisła z Nogatem rozłącza, przezwiał ją Zanthier lub Czantier, i z niej wielkie szkody żeglującym na Wiśle wyrządzał. Gdy potem nastął pokój ze Świętopelkiem, twierdza przeszła w posiadanie Krzyżaków, powołanych przed dwudziestą laty przez Konrada księcia mazowieckiego, dla obrony od napadów pogani pruskich. Mistrz Hartman de Heldrunge w r. 1280 kazał te twierdze rozburzyć i inny na tém miejscu, gdzie dzisiaj stoi, wznieść zamek, który na cześć Panny Maryi, patronki zakonu swego, Marienburgiem przezwiał. Miasto też wkrótce potem założył Konrad de Thierburg, młodszy mistrz prowincjonalny, który roku 1283 na tę godność został obrany.

Gdy w roku 1309 Zygfried de Feuchtwagen, mistrz krzyżacki, stolicę swoją z Niemiec do Prus przeniósł, obrócił on zamek i miasto Malborg, jako najpiękniejsze i najstosowniejsze w całych Prusach, na mieszkanie wielkich mistrzów. Zamek pod ten czas już muryrowany, został jeszcze dla wygody swych nowych mieszkańców rozprzestrzeniony, osobiwie zaś wzniesiono wówczas tę część, którą później nowym zamkiem nazwano. Dietrich z Oldenburga wielki mistrz (1335 do 1341) zamek umocnił wałem, przyozdobił wieżami i obok zamku kościół Panny Maryi pobudował.

Odtąd Malborg (tak przezwany po polsku), zaczął przybierać coraz groźniejszą postawę; piętrzyły się niezmiernie mury zamku, baszty i wały, tak iż niezadługo okrzyknięto go najmocniejszą twierdzą w Europie.

Malborg był świadkiem wielu pamiętnych w dziejach polskich wypadków. Władysław Jagiełło, odniósłszy słynne zwycięstwo nad Krzyżakami pod *Grunwaldem*, rozpoczął oblężenie zamku. Wkrótce zajął miasto i już miał dostać warowni, kiedy wypadki w Koronie i Litwie, oraz wpływ niektórych panów, zmusiły go odstąpić 19 września 1410. W czasie oblężenia jeden pachołek krzyżacki, rozgniewany na zakon o jakąś karę którą mu wymierzono, porozumiał się ze znajomym sobie puszkarzem polskim, zawiesił mu jako cel czerwony kapeluszek w oknie, a puszkarz tak trafnie wymierzył działo, że kula przeleciała tylko o trzy cale od głównego filaru, co dźwigał sklepienie sali (w której siedział wówczas wielki mistrz z komturami na radzie), i utkwiała w murze nad kominem. Najdawniejszy to ślad użytego przez Polaków działa.

Shczęśliwszym był Kaźmirz IV, który prowadząc o ziemię pruską, co mu się dobrowolnie poddała, wojnę z zakonem krzyżackim, zajął Malborg ósmego czerwca 1457 r., a mistrz Ludwik Erlichshausen nie jako dowódzca, ale jako jeniec swego żołnierstwa najemnego, musiał opuścić stolicę zakonu. W kilka lat później, w skutek traktatu toruńskiego 1466 r. zawartego, Malborg z całemi Prusami zachodniemi przeszedł pod panowanie polskie.

Podczas najazdu króla szwedzkiego Gustawa Adolfa, w r. 1626, pobite były pod Malborgiem oddziały wojska polskiego, a nieprzyjaciel zajął zamek, z którego ustąpił w dziesięć lat potem, po zawarciu traktatu. Zniszczył go straszny pożar 1644 r.

Pamiętny w historii najazd Szwedów pod Karolem Gustawem znów oddał Malborg w ich ręce 1656 r. Polakami dowodził wówczas pod tym zamkiem Ludwik Wejher wojewoda pomorski, i długo go bronił; poddania się też jego przeżyć nie mógł, i w chwili wchodzenia Szwedów do twierdzy, tknięty apopleksją, zakończył żywot, pełen zasług dla kraju.

Od tego czasu znów Malborg pozostał w ręku Szwedów, aż do pokoju oliwskiego r. 1660. Te tak częste zmiany, nieszczęścia wojenne, wreszcie i niedbałość starostów polskich stały się powodem, iż zamek całkowicie zniszczał, a gdy w r. 1773, część tego kraju przeszła pod panowanie królów pruskich, starożytny zamek malborski na główny magazyn wojskowy użyty został. W roku dopiero 1842 ze składek po całych Niemczech odnowiono zamek ten odnowiono, a to podług najdawniejszych, w archiwach znalezionych rysunków.

Zamek malborski, taki jak go dziś widzimy, należy do najpiękniejszych gmachów w Europie. Nie wiadomo kto skreślił pierwotny plan budowli, choć z oznak niektórych zdaje się że zrobił go Niemiec. Brak kamieni, z których zwykle budowali Niemcy, skłonił Prusaków do użycia palonych i glazurowanych różnobarwnych cegieł, które w całości ścian pięknie wyglądają. To też i zewnętrzne upiększenia, gzymsovania wieżyczek i szczytów porobiono z cegieł czarno glazurowanych, które żywo odbijają od czerwonego tła murów.

Pierwszy z załączonych tu rysunków przedstawia ogólny widok zamku i miasta. Na drugim widzimy go wyobrażonym od strony Nogatu. Z lewej strony spostrzegamy ośm wielkich, kolorowych okien, harmonijnie zakończonych w górze, zdobiących na 110 stóp długi klasztor; nad niemi ciągnie się rząd wspaniałych pokojów, służących niegdyś do obrony i ozdoby. Obok w wystającym skrzydle, w czteropiętrowej, poważnej wieżycy, urządzone było mieszkanie wielkiego mistrza, które łączyło w sobie wszystkie warunki sztuki, wymagane w tego rodzaju gmachach.

Oparta na ogromnych, sklepionych piwnicach, sterczy ta śmiała budowa, jakby bastyon gotycki; coraz wyżej, coraz lżej i wysmuklej wybiegając ku niebu, mieści na samej górze wspaniałe komnaty mistrzów. Nad nią widać już tylko dach i stare blanki.

Im wyżej gmach ten się wznosi, tém więcej zdumiewa śmiałość jego budowy. Widziany zdala, zdaje się być wystawionym na słupach. Przez głęboką fosse zamkową prowadzi z prawej strony most do górnego czyli wysokiego zamku. Minawszy wielką, sklepioną bramę, wstępujemy w ciasny, czworoboczny podwórzec, gdzie niegdyś w pośrodku biła fontanna. Tuż przy bramie było wejście do wspaniałej sali kapituły, gdzie rycerze zbierali się na radę, sąd, lub obiór nowego mistrza. Gdzieindziej powiemy obszerniej o tej sali.

Z trzech stron zamku idzie sklepiony krużganek, wychodzący na podwórze; reszta sklepień i krokoszytnów, stercząca z czwartej strony, przekonywa, że i tam niegdyś był krużganek, który na najwyższym piętrze wiódł z sali kapituły do kościoła. W głębi, naprzeciw mostu zwodzonego, widzimy na rycinie starą wieżę księży, w której mieszkali duchowni zakonu. Kiedy Malborg należał do Polski, zajęli ją byli jezuita na kollegium; dziś użyta jest na skład broni landweru.

Wróćmy się raz jeszcze wewnątrz zamku. Mamy przed sobą główną stronę wielkiego refektarza i całą budowę w zupełnym jej rysunku, od dołu aż do szczytu. Niezmierna siła murów dolnych i fundamentów, połączenie sztuki i przepychu, ozdoby sztukatorskie na całym gmachu, a szczególniej około okien, lekkość środkowych, mocno wystających pilastrów, śmiałość zawieszonych nad niemi blanków i zgoda z jaką to wszystko łączy się w jedną harmonijną całość, wszystko to rzeczywiście przedstawia widok niezwyčajny i wspaniały. Najniższe piętro mieszkania wielkiego mistrza obejmuje obszerny korytarz i cztery piwnice, których płaskie sklepienia wspierają się na granitowych słupach; obok nich jest obszerniejsze od innych podziemie, oparte również na trzech granitowych kolumnach. Na prawo z korytarza znajduje się okrągła studnia, wymurowana z kamienia; do ciągnięcia z niej wody porobiono są we wszystkich piętrach otwory. Dalej pod całym gmachem są ogromne piwnice.

Kręcone schody wiodą do wyższych piwnic, podobnych do poprzedzających. Mieszkała w nich służba wielkiego mistrza, w części zaś używano ich na rozmaite składy. Parter ma dwa wejścia z podwórza i obejmuje od tej strony kilka sklepionych izb, niegdyś kuchnie, a dziś mieszkanie nadzorey zamku. Od strony Nogatu, to jest od tej, którą przedstawia rycina, są na dole cztery wesole i jasne pokoje, stanowiące niegdyś kancelaryę wielkiego mistrza. Podłoga w nich ułożoną jest z różnokolorowych cegieł, a szyby w oknach ozdobnie malowane. Do tych pokojów dotyka także wielka sala rady, a obok niej jest archiwum zakonu. Wyższe piętro mieści paradne pokoje wielkiego mistrza. Obszerną sien, której ciężkie sklepienie spoczywa na czworograniastej kolumnie, oświecają dwa wielkie okna, których malowane szyby przedstawiają Henryka v. Plauen i Kuchmeistera v. Sternberg. Na ścianach wiszą portrety znakomitych mistrzów, a między niemi hełmy, zbroje i pęki rozmaitej broni. Naprzeciw wejścia posąg rycerza, w zupełnej zbroi, stanął jakby skamieniała warta.



WIDOK OGOLNY MALBORG.

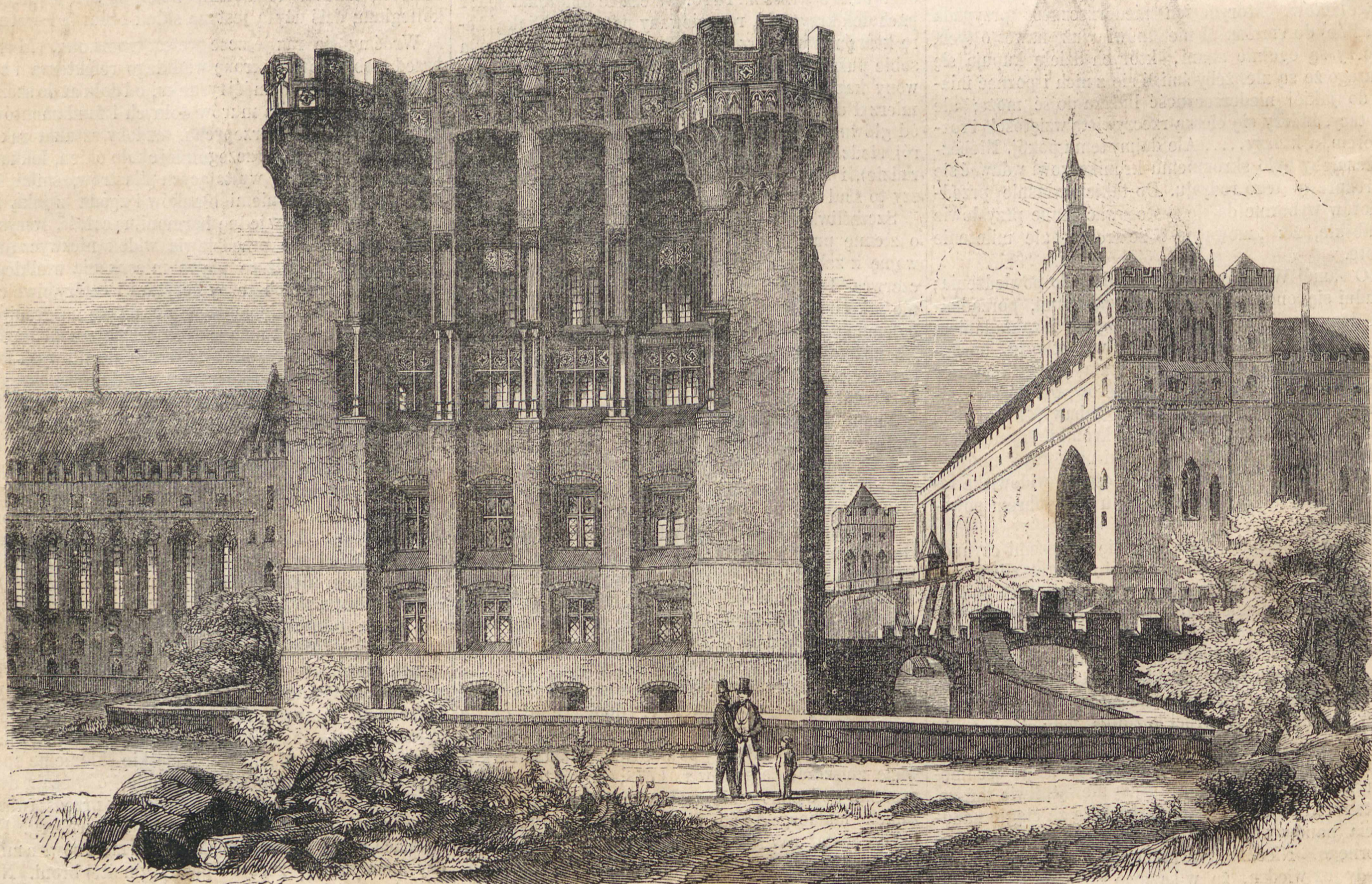
Ztąd, przez piękny krużganek, wstępujemy do refektarza wielkiego mistrza. Tu, w sali książęcego przepychu, przewodnik zakonu przyjmował posłów zagranicznych lub też wydawał świetne uczy. Któż nie przypomni tu sobie opisu uczy krzyżackiej w „Kon-

radzie Wallenrodzie.“ gdzie, jak mówi nasz wieszcz:

Sto białych piaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi;
To byli bracia, a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

A w inném miejscu:

Już mistrz powstawszy daje uczy hasło,
„Cieszmy się w panu!“ Wnet puhary błysły.
„Cieszmy się w panu!“ tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.



ZAMEK MALBORSKI OD STRONY RZEKI.

Znikł zakon, przebrzmiały jego uczy, a historia tylko przekazała jego rozpustę, zbytek, zabory i łupieżstwa.

Dziesięć ogromnych okien, z których otwiera się rozległy widok na okolicę, zdobią szyby wspaniale malowane, przedstawiające różne epizody z historii Krzyżaków. Za czasów zakonu refektarz oświetlony był wspaniałymi świecznikami. W tej to sali, naprzeciw okien, tkwi wielka kula, o której mówiliśmy poprzednio. Obok sali leży mały refektarz, a piękne jego sklepienie spoczywa na jednym filarze. Pomiedzy łukami sklepień wisiały niegdyś portrety wielkich mistrzów, konno, w białych płaszczach. Był to zwykły jadalny pokój mistrzów, obok zaś dwa pokoiki służyły za gabinety do wypoczynku.

Z kaplicy jest wyjście do sypialni wielkiego mistrza, odznaczającej się nadzwyczajną prostotą. Z gabinetu, za pokojem sypialnym, gdzie stały skrzynie i kufry wielkiego mistrza, długie kamienne schody prowadzą do dolnego refektarza. Temi schodami mógł tylko sam wielki mistrz schodzić, gdy zasiąść chciał przy stole rycerzy zakonnych. Wielka sala refektarza, z białymi, śmiało rzuconymi sklepieniami, służyła za miejsce zebrania wieczornego rycerzy zakonnych, oraz na zabawę i rozmowy.

Trzecia rycina przedstawia zamek od strony posągu Najświętszej Maryi Panny, czyli ze strony południowo-wschodniej. W wystającej murywanej wnęce stoi posąg Najświętszej Panny z Dzieciątkiem Jezus na ręce lewej, a z berłem w prawej. Posąg ma dwadzieścia dziewięć stóp wysokości. Złocista suknia, purpurowy płaszcz, biała, wielka zasłona i korona złota zdobią ten wizerunek. Wnęka na ścianie tylnej grubo jest wyzłocona, boczne zaś ściany malowane kolorem błękitnym, ze złotymi gwiazdami. Posąg jest rodzajem mozaiki, wykonanej z gipsu, i ma na wierzchu grubą warstwę jakiejś szklistej, bardzo twardej masy, która mu nadaje połysk szczególny.

Pod posągiem jest kaplica św. Anny, mieszcząca grobowce wielkich mistrzów, z pomiędzy których odznaczają się groby Dietricha v. Altenburg, Winrycha Kniprode i Henryka v. Plauen.

Z lewej strony widać część *wysokiego zamku*, a między nim i kaplicą św. Anny, ementarz rycerzy, ocieniony drzewami. Na prawo od kościoła spostrzegamy *wieżę księżą*, która, jakśmy mówili, była niegdyś mieszkaniem kapelanów zakonu, a później jezuitów. Most zwodzony prowadził z *wysokiego zamku* na podwórzec *zamku średniego*. Trzy okna gmachu widzianego z prawej strony, należą do komnat wielkiego mistrza, z których miał odkryty widok na most zwo-

dzony i na włoskie ogrody, otaczające niegdyś zamek od strony wschodniej, gdzie dziś idzie kolej do Elbląga.

Widzimy także na drzeworycie wieżę kościelną. Do wspaniałych drzwi, nazwanych złotą bramą, dla fantastycznych i bogato złożonych sztukaterij, prowadzą z boku nowo zrobione wschody. Niegdyś długi portyk wiódł z podwórza zamkowego, z sali kapituły do kościoła. Portyk ten w 1851 r. przy budowie magazynów został zniszczony. Urządzenie i wewnętrzne ozdoby czterech sklepień kościoła podobne jest do



ZAMEK MALBORSKI OD STRONY POŁUDNIOWO WSCHODNIEJ.

spotykanych we wszystkich świątyniach gotyckich. Zwraca jednak szczególniejszą uwagę jedno sklepienie kamienne, w kształcie baldachimu, oparte na dwóch kolumnach, pod którym wielki mistrz zasiadał. Stale zakonne dotychczas stoją w kościele jak za czasów krzyżackich.

Ze starego Malborka, prócz murów w części dziś odbudowanych, niewiele pozostało pamiątek i zabytków. Znikły gdzieś nagromadzone tu zewsząd przez Krzyżaków bronie, sprzęty i przepyszne ozdoby, rozsypały się po świecie piśmienne ich zabytki, i tylko historia przekazała wielkie częstokroć ich męstwo i większe jeszcze występki. Z kolei powiemy później o znakomitszych częściach wewnętrznych zamku, porzostając dziś na ogólnym opisie olbrzymich jego kształtów zewnętrznych.

ZYWOT I PRZYGODY
IMCI PANA JÓZEFA GABRYELA
Z GOZDA HRABI GOZDZKIEGO,
WOJEWODZICA PODHASKIEGO,
opisane przez
J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dokończenie)

W moment powraca Wołkowski, z doniesieniem że generała niema, bo do królewskiej kwatery wezwany, tłumaczyć się pojechał.

Trochę życia wstąpiło we mnie, bom ezuł że mnie tak nie da obwiesić, nie spróbowawszy szabli. Ale z Fryderykiem II sprawa była ciężka gdy co postanowił, i w dyscyplinie militarnej ludzkie życie za fraszkę się liczyło.

Wołkowski wciąż u drzwi, a co chwila mi tłumoczek i dukaty przypomina, że bym ich Prusakom skonfiskować nie dał; małom go nie ubił z gniewu. Późno w noc posłałem go znowu do Małachowskiego, ale ten jeszcze nie powrócił.

Wiele się w życiu przebyło na wozie i pod wozem mospańku, ale tej nocy szubienicznej, i tego czém mnie ona nakarmiła, nie zapomnę do śmierci; jeszcze mnie przechodzą śmiertelne dreszcze, gdy mi to na myśl przyjdzie, a we śnie ów namiot i Wołkowskiego u drzwi, i tę ciszę przerywaną tylko obozowym obluzem warty, często jeszcze mam na oczach.

Gdyby tak dziś gardło dać przyszło, jużby to takiego nie zrobiło wrażenia; ale wówczas, gdy byłem w pełni sił i życia, gdy mi się uśmiechało wszystko, i jeszcze dla tych pluder niemieckich pójść na szubienicę jako złodziej... nie zdziwisz się, gdy ci

powiem że omal nie zwaryowałem. Rzuciłem się w najdziwniejszych projektach, między którymi było i wartej mojej ubić, a pieszo uciekać z obozu, i domagać się widzieć z królem, i kaduk wieć co... Ale co to natura ludzka: nad rankiem, mimo tego niepokoju który mną miotał, sparłem się na stoliku i takem nie wiedząc jak zasnął. Sen był dalszym ciągiem tego co mnie dręczyło na jawie, przerywany i gorączkowy. Zerwałem się z niego, sądząc że mnie na śmierć już prowadzić mają, gdy przed sobą ujrzałem starego Małachowskiego, który mnie targnął za rękę, żeby obudzić.

— Generale, ratuj! wykrzyknąłem, rzucając się ku niemu.

— Szalonego nikt uratować nie może, kiedy sam głową w przepaść leci... surowo odezwał się Małachowski. Byłem u króla, musiałem mu powiedzieć wszystko, wydać imię twoje, odkryć pokrewieństwo

rozczerlić go młodym wiekiem i niewiadomością prawa... prosiłem i błagałem, ale Fryderyk jest surowy. — I cóż?

— Nie daje się zmieknąć; jedź wspaniały ze mną... sam staniesz przed nim i będziesz się tłumaczył... Trochę ducha wstąpiło we mnie.

Szarżę poczynano, gdyśmy stanęli przed domkiem dosyć lichym, który Fryderyk zajmował; dotąd widywałem go tylko z daleka na paradzie, z laską i tabakierką, dziwnie do bohatera niepodobnym; teraz miałem się zbliżyć w chwili stanowczej, która los mój miała rozstrzygnąć.

W domu tym nic nie znamionowało króla, nawet naczelnego wodza. Była to kurdygarda dymu pełna, piwem trąca i brudna... Ogromne draby trzymały wartę w sieniach... cisza panowała, surowo zachowywana.

Weszliśmy z generałem do izby, w której dwie świece w prostych lichtarzach paliły się na niepomalowanych stołach. Czekał w niej jakiś starszy wojskowy z raportem i parę mniej znaczących figur. Mnie postawiono u drzwi... Drzwi od gabinetu królewskiego były zamknięte, milczenie przerywane tylko szcękaniem broni w sieniach... Czekaliśmy chwilę wiekuiście długą; naostatku wezwano generała do króla i drzwi znowu zamknęto. W oczach mi się śmiło, gdy usłyszałem nazwisko moje, i jakiś wojskowy wepchnął mnie raczej niż wprowadził do gabinetu.

Był to pokój niewielki, wcale nieprzybrany, w środku stół kawałkiem sukna przykryty, na nim zegar stary leżący, papierów kupa, mappy i fletrowers. Generał stał z boku, a przeciw sobie ujrzałem króla, w wyszarżanym i połatanym mundurze, w kapeluszu na głowie, przypatrującego mi się z miną surową. Twarz jego, czysto-niemiecka, miała w sobie coś dziwnie poważnie śmiesznego, długa, wyciągniona i nastrojona surowo, a jednak nie budząca poszanowania, strach jakiś raczej. Rysy były zwiędłe, marszczki głębokie, oczy wpadłe, ale przenikliwe wzrokiem... Prosty żołnierz wykwiutniejszy od niego był ubrany, tak jakoś brudno wyglądał.

Najprzód w milczeniu obejrzał mnie od stóp do głowy okiem znawcy, który ocenia człowieka jako żołnierza, i znać postawa moja, wzrost, mina, musiały go korzystnie uderzyć. Zaraz złagodniała twarz i lekki, niedostrzeżony uśmiech przeleciał po ustach bladych i wąskich.

— Wspaniały jesteś ten *foedifragus*? spytał po francuzku... wiesz co cię czeka?...

Żem o tym dobrze wiedział, szubienica obiecana dodała mi odwagi i słów mi w gębie nie zabrakło.

— Co możesz powiedzieć na usprawiedliwienie swoje? podchwycił krok odstepując...

— Najjaśniejszy panie — odezwałem się — unikając prywatnej Bielińskiego zemsty, uciekłem do obozu waszej królewskiej mości, ciesząc się, że w tym miejscu zbierać będę laury rosnące obficie pod okiem Fryderyka... Pałałem żądzą wstawienia się jakimkolwiek czynem, lecz generał Małachowski bronił mi i zagradzał wszelką odznaczenia się drogę... Gdy go wreszcie uprosiłem, że mi dozwolił wynieść z patrolu, chciałem tę pierwszą chwilę czynnej usługi waszej królewskiej mości uświetnić jakim czynem godnym pamięci; rozumiałem że w osmdziesiąt koni zabierając trzechset Austriaków, zasłużyć sobie i rodakom moim na pochwałę, a tu los przeciwny śmiercią mi haniebną za to zagraża, com mniemał godnym nagrody.

Ta mowa moja widocznie się podobała. Zażył tabaki, uśmiechnął się nieznacznie i począł coś na stoliku machinalnie przecierać, poglądając na mnie w milczeniu z ukosa.

— Jakże wspaniały chcesz bym na to poradził, odezwał się po chwili namysłu Fryderyk, oddając mi życie, które w piersi wstępowało. — Cóżbyś zrobił, gdybyś był na moim miejscu?

Stawił mnie na dziwnej próbie, zadając to pytanie, z którego wypadło wyjść bez upodlenia i przytomnie; szczęściem jużem czuł że szubienica była daleko i żywo odparłem:

— Najjaśniejszy panie — gdyby to odemnie zależęć miało, kazałbym dla uspokojenia Laudona powiesić na szubienicy portret oficera Sławińskiego, a Józef Gozdki, wdzięczny za ocalone życie, wiernieby służył monarsze, największemu w Europie wodzowi.

Uśmiechnął się Fryderyk, spojrzawszy na Małachowskiego. Sprawa była wygraną widocznie.

— Zgadłeś, właśnie żem tak chciał uczynić, odezwał się po chwili. Idź wspaniały i nie grzesz więcej, rzekł kończąc żartem... Mam nadzieję, że mi z twym meztwem przydasz się na polu bitwy.

Skłonił głowę, a ja niski oddawszy pokłon, conajprędzej się wyniosłem, oczekując w przedpokoju na Małachowskiego. Alem już głowę podniosłem, ożył i pilno mi było wyjść, aby odetchnąć powietrzem na nowo z tą nadzieją przyszłości, której przed chwilą byłem pozbawiony, a która mi teraz nektarem smakowała, jakbym się na świat narodził.

Fryderyk wielki wydawał mi się teraz największym i najmędrszym z monarchów świata całego i gotówem był za niego do ostatecznej kropli krwi przelać.

Tegoż samego dnia nastąpiła egzekucja Sławińskiego, którego imię i wizerunek powieszono na szubienicy pośród obozu Laudona; osoba bowiem się nie znalazła, a Józef Gabryel Gozdki pod własnym imieniem wstąpił w aktualną służbę króla pruskiego, w regimencie Małachowskiego, jako podoficer.

Otóż jak się ta sprawa, która szubienicą pachła, szczęśliwie skończyła, a Wołkowski lzy otarł przy kieliszku.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

M U Z Y K A.

Czynność jaką dzisiaj opera nasza rozwija jest nadzwyczajną; tylko w dawniejszej epoce prywatnego zarządu teatru podobną spotkać można. W niespełna dwóch miesiącach widzieliśmy na scenie aż cztery opery nowe, kilka innych w blizkiej przyszłości nam zapowiadają; więc zwolennicy tego pięknego działy sztuki, mając obszerne pole napawania się dźwiękami muzyki dramatycznej, oddadzą zapewne sprawiedliwość miejscowemu artyście, że sprawy swojej nie zaspiają. Ostatnią z nowych oper, przedstawioną na scenie dnia 27 września b. r., była *Lazarilla śpiewaczka zakwestiona*. Dziełko to, napisane dla teatru komicznej opery w Paryżu pod tytułem *La chanteuse voilée*, z jednego aktu na dwa u nas przerobionem zostało, a muzyka Wiktora Massé, lubo nie zaleca się oryginalnością pomysłów, lubo w szczupłych rozmiarach prowadzona, lekkością motywów i zręcznością instrumentacji podobać się musi, gdy dobrze zostanie wykonaną.

Palomita, służąca młodego malarza, chcąc pana swego uwolnić od natarczywości wierzycieli, nocną porą bez jego wiedzy wymyka się z domu i biegnie na ulice Sewilli, zasłonięta nieprzejrystym kwefem, wyspiewując rozmaite piosenki. Zachwyceni słuchacze czarowną pięknoscą jej głosu, tłumnie ją otaczają, a skoro tylko woreczek im nadstawi, syją w niego co kto może. Zebraniem w ten sposób pieniędźmi, opłaca Palomita potajemnie długi swego ukochanego pana. Lecz w mieście lotem błyskawicy rozleciała się sława tajemniczej śpiewaczki; każdy pragnie wiedzieć kto jest ta czarodziejka, co najobojętniejszych pieśnią i tańcem w zachwycenie wprawia. Nieublagana zasłona zakrywająca jej oblicze, do najwyższego stopnia rozdrażniała ciekawość mieszkańców Sewilli; więc gdy w nocy każdy biegł za brzękiem jej gitary, w dzień o niej tylko mówiono, gubiąc się w najrozmaitszych domysłach. Zwróciło to uwagę samego gubernatora miasta, który dla zaspokojenia własnej ciekawości daje alguazilowi rozkaz schwymania jej, pod pozorem że nocne śpiewy są wzbronione. Alwarez, wierny typ alguazilów całego świata, postanowił, korzystając ze sposobności, przy jednym ogniu dwie pieczenie upiec; wymógł więc na malarzu, iż zanim schwytaną śpiewaczkę gubernatorowi przedstawi, poprowadzi ją wprzód do niego, że artysta zdejmie jej portret i później go sztychem upowszechni, a zyskiem ztąd odniesionym obaj się podzieli. Malarz, nie widząc innego środka na spłacenie swych długów, chętnie przystaje.

Alguazil, schwytawszy śpiewaczkę, uprowadza ją do pracowni artysty; następnie, po kilku scenach dosyć zręcznie obmyślanych, wszystko się wyjaśnia. Malarz, kochający oddawna Palomitę, zachwycony teraz jej talentem i dobrocią serca, postanawia z nią się ożenić.

Taka jest treść tej operetki, przyswojonej naszemu

scenie przez p. Matuszyńskiego. Muzyka jej, chociaż nie odznacza się żadnym świeższym pomysłem, gdyby była posilkowana żywszą i zręczniejszą grą artystów, mogłaby znaleźć trwałe u nas powodzenie. Zresztą jest to fraszka, która z wyjątkiem tylko skandalicznego nieco duetu w pierwszym akcie, ani wzbogaca, ani uboży repertoaru.

Rola Palomity dostała się pannie Dowiakowskiej, artystce obdarzonej bardzo miłym i nadzwyczajnie giętkim głosem. Pod względem wokalnym nie można było stosowniejszego uczynić wyboru; nikt bowiem z większą swobodą nie jest w stanie oddać tych liczących ozdób, kadencyj i passażów, jakimi podobano się kompozytorowi przepełnić rolę o której mowa. W rozmowie ze słowikiem, na początku drugiego aktu, panna Dowiakowska okazała bogactwo mechanizmu jakim włada, a miejscami wokalizacya jej dokładniejszą nawet była od orkiestrowego fletrowersu słowika udającego. Niesłusznie zarzucano tej młodej artystce zbyt dużą chęć naśladowania sławnej śpiewaczki pani Lagrange. Śpiew bowiem dramatyczny dzieli się na dwa główne rodzaje, na lekki i poważny; stosownie zaś do natury głosu cechującego artystkę, kompozytor, przeznaczając jej rolę, układa odpowiednio muzykę. Koloratura nie jest udziałem wyłącznym pani Lagrange, ale wszystkich śpiewaczek obdarzonych giętkim głosem, a sopranistek w szczególności. Właśnie głos panny Dowiakowskiej należy do tej samej kategorii, więc zarzut niesprawiedliwie był wymierzony, a co gorsza, z błędnej pochodzący zasady. Owszem, cieszyć się należy z posiadania w gronie naszych artystek tej bogato pod względem wokalizacyi uposażonej śpiewaczki, i to tym więcej, że postępy jakie na drodze stopniowego ukształcenia czyni są widoczne i pełne dobrej wróżby na przyszłość. Szkoda tylko, że w jej grze niema dosyć życia i baczenia na prawidła sceniczności; jeżeli panna Dowiakowska pragnie być w tego rodzaju operach użyteczną scenie, czeka ją ogromna praca, zmuszająca do uporczywej walki z indywidualnością, bo inaczej cel będzie najzupełniej chybiony.

P. Kamiński w roli malarza śpiewem wynagradzał niedokładności pochodzące z braku należytego oswajania się z prozą; w duecie pierwszego aktu, w romansie drugiego, miał obszerne pole rozwinięcia szerokiej skali swego pięknego głosu. Wzięte z piersi C wysokie, będące idealną nutą każdego dzisiejszego tenorzysty, jak z jednej strony świadczy o młodzieńczej potędze organu, tak z drugiej nabawia niejaką trwogą tych wszystkich, którzy wiedzą jak kruchym narzędziem jest głos ludzki, jak łatwo zbyt niemiłym wysileniem nadwreżyć go można, jak niepowetowaną jest jego strata.

P. Troschel śpiewał i grał wybornie; gdyby więcej trochę komicznej charakterystyki, byłby alguazilem nie zostawiającym do życzenia.

W ogólności wielka teraz obfitość śpiewaków i śpiewaczek: tylko co panna Płodowska trzeciego wystąpienia w *Trubadurze* z powodzeniem dokonała, tylko co zapowiedziano ukazanie się w *Faworycie* p. Zawiszanki, aż tu przybyła także z Włoch młoda artystka, o której talencie wiele dobrego mówią, nie licząc już zdawna zapowiedzianego przyjazdu pań Mikorskich. Przypnie należy, że jeszcze nie byliśmy tak bogaci w piękne, świeże i nauką wykształcone głosy; możemy więc teraz bez zazdrości słyszeć o powodzeniach naszych artystek pomiędzy obcymi. Niech tam się Leśniewską Włosi, Westfalewiczówną Francuzi zachwycają, i dla nas nadeszła przecie chwila rokosznego pojenia się talentami współrodaczek. Będziemyż je umieli ocenić, wynagrodzić? to inna kwestya, do rubryki sprawodawczej na teraz nie należąca.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Rzym, dnia 24 września 1859 r.

Wrzesień w Rzymie jest czasem przejścia i przesilenia, tak na niebie, jako i na ziemi. Skwarne lato włoskie, zanim ustąpi cudnej południowych stron jesieni, zwykło z nią staczać zacięte boje, których wrzesień jest porą, placem zaś nieskalane włoskie lazury.

Wtedy to owo prześliczne niebo zasepia i zachmurza się, a w jego zmaconych bezdniach powstaje ów głos, który w języku półwyspu zwie się *basso profondo*. Włosi, a za ich przykładem i cała przyroda włoska, kochają się niepospolicie w *chiasso*, w hałasie; i warto posłuchać huku tutejszych grzmotów i nawałnic, warto przypatrzeć się z jaką hojnością niebo sypie piorunowe race i różnokolorowe ognie błyskawic. Zda się przerażonemu widzowi, że spełnia się owo horacyuszowe *si fractus illabatur orbis*, że nad twą odurzoną głową nastąpiła jedna z tych napowietrznych, tytańskich potyczek między anielskimi zastępami, jakie pióro Milona tak cudownie skreśliło.

Milony chaos, który ogarnia przezrocza niebieskie, przenosi się także na obszar ziemski; pomijając chaotyczność kwestyi włoskiej, wzburzającą umysły ludności miejscowej, niemały odmet panuje w tym miesiącu pomiędzy mieszkańcami *wiecznego miasta*. Jedni powracają z swojej letniej *villeggiatury*, drudzy wyjeżdżają na jesienną; jedni i drudzy nie przyjmują wizyt, nie udzielają się światu, bo tamci jeszcze nie rozpakowali, a ci już zapakowali tłumoki. Wśród tego ruchu krajowców, zaczynają się pojawiać tu i owdzie cudzoziemcy, przednia straż tych różnoplemiennych zastępów, co ponawiając, lubo łagodniej, najazdy Atyli i Genzeryka, zbiegają się z za gór i z za morza na piękne równiny Italii, której fatalna ponętność była i będzie zawsze źródłem sławy i nieszczęść dla niej, i podziwu i uwielbienia dla podróżników, zdrowia dla suchotników, a zdzierstwa dla oberżystów. Już tu i owdzie przemyka się hogartowska sylwetka dziecka Albionu, sztywna, ostrokątna, nieruchoma a ruchliwa. Jest ona w swym męzkim rodzaju najuroczystszej zaprzezieniem gorączkowego charakteru italskich plebion, tak jak w żeńskim negacją ich piękności.

Wszechobecność Anglika ściga cię krok w krok we Włoszech, a mianowicie w Rzymie; cień jego ściele się wszędzie w poprzek twoich najmilszych i najpoetyczniejszych przechadzek. Przy słynnych pomnikach, w lubych ustroniach, w pełnych przeszłości zwaliskach, zawsze i wszędzie napotkasz John Bull'a, z jego włosem rudym, długimi zębami, spiczastym kołnierzem i nieodstępnym, czerwono oprawnym przewodnikiem pod pachą: na Palatyńcu zamiast Cezara, na Kapitolu zamiast Kamilla, u grobu Cecylii Metelli zamiast starożytniej płaczki wspartej na sarkofagu, w gaju Egeri zamiast wdzięcznej kochanki Numpy. Co chwila bierze cię niecierpliwosć zawołać na tę chodzącą mgłę londyńską, jak Dyogenes na Aleksandra: „Niezasłaniaj mi mego słońca.“

Los atoli przyjazny, obok albiońskiego widma, zsyła ci charakterystyczne obrazy auzońskiej ziemi. Oto rozpoczynają się *Ottobrate* ludowe, październikowe uroczystości Rzymu, których początek sięga starożytnych pogańskich bachanalij. Kapłanami tych czysto starożytnych świąt są Transteweranie, składający w wiecznym mieście dotychczas *statum in statu* i mawiający z przyciskiem: *siamo di sangue romano, anche trojano*, (jesteśmy z krwi rzymskiej, a nawet trojańskiej.) Mają oni się za prawdziwych potomków Eneasza i jego towarzyszy; lecz jeżeli wolno rodom historycznym wywodzić swój początek od synów Romy, gdy rodzina Massimi'ch sławi swe pochodzenie od Fabiusza, Santa-Croce od Waleriusza Publikoli, dla czegoż poczciwy lud zatybrański nie miałby poetyzować swego pochodzenia? Skrzętnie też zbiera przez cały rok oszczędzony grosz, nie jak zabiegły Niemiec lub staranny Francuz, ażeby zapewnić sobie starość, ale na październikowe zabawy. Skoro miesiąc bachusowy nadchodzi, rozbija się skarbówka przez rok pilnie strzeżona, lub kilka rodzin łączy swoje dostatki i hulanka rozpoczyna się. Transteweranie, który cały rok nie wsiądzie do fiakra, nie chcąc naśladować wgardzonego od siebie *forestiera*, w tych dniach wychodzi ze zwykłego sposobu życia, najmuje najwspanialszy pojazd i każe się wozić po corso. Liberya, ubrana przepysznie, w paliowych rękawiczkach, dziwnie odbija od różnobarwnych strojów wesołej gromadki Transteweranów, którzy siedzą dumnie rozparci w powozach; widać tam srebrny sztylecik, polyskujący w krucznych włosach, i złocisty naszyjnik, nieodrodny od dawnych pompejańskich. Zdaje się że zamiast wyblakłej rycinki żurnalu paryzkiego, nagle oglądamy śliczny obraz Tycyana. Dziwnie jednakże ich postać wygląda w tych modnych pojazdach; prędzejby im przystała poetyczna koncha, na której penzel Rafaela przewozi ów kwiat piękności we freskach pałacu Farnesiny.

Znaczna część Rzymian bawi dotychczas w Frascati i Albano, w romantycznych willach, którym nie zbywa ani na laurowych i mirtowych gaikach, ani na białych posągach pod czarnymi cyprysami, ani na wodotryskach mruczących przy świetle księżycy, pod lazurówym niebem zasianym dyamentowymi gwiazdami, słowem niebrak żadnej z ponęt i uroków, jakimi pióro Tassa zapełniło zaczarowane ogrody Armidy, kędy znajdują się

Wody przejrzyste i kryształy żywe,
Chłodne doliny, pagórki kwitnące,
Szczepy rokoszne, drzewa urodziwe,
Kwiecie barwiste i ziola pachnące.
Zbierajmyż różę, póki w świeżym kwiecie,
Zbierajmyż różę pożądną miłości,
Dziś, owszem zaraz, póki nie przemienie,
Póki nie zwiędnie, póki nie upłynie.

(Piotra Kochanowskiego przekład Jerolimy wyzwolonej).

Róże te, kwitnące przez cały rok w Rzymie, wielki świat i dyplomacya zbiera nad malowniczymi brzegami jeziora Castel Gandolfo; artyści zaś, a w tej liczbie i wielu naszych, lubią zapuszczać się dalej, ku Tivoli, Subjaco i San Vito, gdzie olbrzymie Apeniny, ze szczytem skrytym w tumanach obłoków, przedstawiają ciepłe tony Salvatora Rosy, przejrzysty widnokrąg światła Lorraine'a, a w oddaleniu różnobarwne mgły koloryt Correggia.

ANTONI LESZNOWSKI.

Zeszedł z tego świata we czwartek dnia 13 października b. r. w 44 roku życia.

Nie tu miejsce i czas skręślać życiorys zmarłego, inni dopełnili za nas albo dopełnią smutnego tego obowiązku. My tylko zamierzylimy tu w kilku słowach wykazać stanowisko jakie ś. p. Antoni Lesznowski zajmował jako redaktor najwięcej tu wziętego piśma codziennego, i wpływ jaki przez to stanowisko wywierał na ruch literacki krajowy.

Nazwisko ś. p. Lesznowskiego w ostatnich kilkunastu latach tak się zespoliło z „Gazetą Warszawską“, że trudno jedno od drugiego odłączyć. Cały swój czas, wszystkie swoje starania poświęcił on temu piśmu i silną prowadząc je ręką, potrafił postawić „Gazetę Warszawską“ na wysokości popularności, zmnożywszy listę jej prenumeratorów do bezprzykładnej tu jeszcze liczby. Tu fakta i cyfry same mówią. W przeciągu dziewiętnastu lat redakcyi ś. p. Lesznowskiego, cyfra prenumeratorów „Gazety Warszawskiej“ od 300 do przeszło 7000 wzrosła. Przez ten czas „Gazeta Warszawska“, ożywiona współzawodnictwem, wywarła zbawienny wpływ na stan materialny literatów tutejszych. Piśmo to wydobyło na świat kilka nowych nazwisk, kilku innym przysporzyło rozgłosu. Ś. p. Lesznowskiemu winna literatura, że teraz piszący mają zapewnione jakie takie utrzymanie. On wpłynął na ceny księgarskie i podwyższył je; on w felietonie gazety swojej rozpowszechnił dzieła najznakomitszych naszych autorów i wzwyczał publiczność do czytania ich niemal z potrzeby, zrećznie trafiając w usposobienie czytających. Umiał on folgując często opinii publicznej, kierować nią jednakże. Nie jesteśmy z liczby tych, którzy w każdym razie szczęśliwy skutek stawiają za dowód koniecznej zasługi, zawsze jednak twierdzimy, że to co przez ogół w czasie uznanem zostało, musiało mieć potrzebną i pożyteczną stronę. Pracy która marnieje bezowocnie, musi chyba braknąć potrzebnych warunków bytu; praca zaś która trwa i pełni się, posiada te warunki, bo ogół zasługę dla siebie łożoną uznaje wtenczas tylko, kiedy ona dla niego praktyczną się staje.

Ś. p. Lesznowski, zwłaszcza w ostatnich czasach, mało bardzo pisał w swojej gazecie. Za to zajmował się nią ciągle i kierował nią nader umiejętnie. W początkach jednak prowadzenia tego piśma pochopniejszym był do pióra. Pisał wówczas recenzje teatralne, odznaczające się stylem gładkim, często nawet wytwornym, i trafnym bardzo poglądem na rzeczy. W swoim czasie owe recenzje wielką mu wyrobiły wziętość. On bowiem pierwszy zaczął je pisać od r. 1830 i przeważnie wpłynął niemi na rozbudzenie pomiędzy publicznością tutejszą zamiłowania do sztuki dramatycznej. W sądach surowy, często nawet cierpki,

potrafił jednak zrećznie wypowiedzieć prawdę. Oprócz tego pojawiało się kilka inych obszerniejszej treści artykułów jego pióra. Talent pisarski posiadał on niewątpliwie, ale redagowanie gazety, pochłaniając cały czas jego, nie dozwoliło mu rozwinąć go w sobie jakby mógł i chciał może. Szczęśliwy jednak w wyborze, umiał sobie zjednać zdolnych bardzo pomocników, których współpracownictwo w „Gazecie Warszawskiej“ wielką korzyść temu piśmu przyniosło. A tych którzy szli z nim razem po tej nieraz cierniami najeżonej drodze, umiał on szczerze przywiązywać do siebie, co jeżeli niewątpliwym jest dowodem zrećzności redaktorskiej, i za człowiekiem także przemawia nie-mało.

Bóg powołał go do siebie w wieku, w którym praca jego przez długie jeszcze lata mogła się zużytecznieć. Ufność jaką pokładać możemy w zdolności i dobrej woli tych, których współdziałanie tak długo ją wspierało, zmniejsza klęskę jaka dotknęła „Gazetę Warszawską“. Strata umiejętnego kierownika jednego z tutejszych organów, jakkolwiek wielka, nie jest jednakże niewynagrodzoną; ale cios który dotknął rodzinę i licznych przyjaciół zmarłego, tylko w pokornym znoszeniu niezbadanych wyroków Opatrzności dozwoli im szukać ulgi.

Wacław Szymanowski.

ROZ MAITOŚCI.

Agawa kwitnąca. W cieplarni p. Seek, właściciela dóbr Wieken, w obwodzie friedlandzkim w Prusach, kwitnie pierwszy raz 147 letnia Agawa amerykańska. Łodyga kwiatowa, mająca 24 stóp wysokości, wyrosła w przeciągu półtora miesiąca, i na 30 bukietach dźwiga przeszło 6,000 pojedynczych kwiatów. Mnóstwo lubowników i ciekawych zjeżdża się do Wieken, oglądać i podziwiać to dość rzadkie zjawisko w świecie roślinnym.

Ruch złota w kopalniach Kalifornii i Australii. Wedle urzędowych deklaracyi ilość wywiezionego złota wynosiła:

w roku 1851	. . .	34,462,000	dolarów
— 1852	. . .	45,779,000	—
— 1853	. . .	44,965,000	—
— 1854	. . .	51,429,000	—
— 1855	. . .	45,182,631	—
— 1856	. . .	50,594,434	—
— 1867	. . .	48,177,689	—
— 1858	. . .	48,889,646	—

Razem . . . 369,479,400 dolarów
czyli rs. 443,375,280.

Kopalnie australskie po koniec grudnia 1858 roku dostarczyły złota deklarowanego za 11,408,850 funt. sterl. czyli 68,453,100 rs.; w ogóle zatem wywieziono tego metalu za 511,828,380 rs. Doliczwszy do tego złoto, którego celem uniknienia opłaty rządowej nie deklarowano, można śmiało przypuścić że całkowita ilość wydobytego metalu dojdzie summy 600 millionów rubli. Kto czytał „Opisanie podróży do Australii“, przez ziomka naszego, Seweryna Korzelińskiego, tak sumiennie skreślone, ten ocenić zdoła ile to trudów, cierpień i nędzy, niezmordowanej pracy i żelaznej wytrwałości kosztowało wydobyć takiej ogromnej ilości złota.



Panu Cypryanowi L. w Pinczowie. Za życzliwe uwagi, dotyczące naszego piśma, z serca dziękujemy. Z prac wymienionych prosilibyśmy o nadesłanie nam do przejrzania: poematu, w którym, według wyrażenia pańskiego, są sytuacje Hogartowskie, wzmianki o Żarnowcu i uwag o mamucie znalezionym w Pinczowie.

Panom baronowi de C. w Miłoszewicach i Mieczysławowi L. w Warszawie. Poezycze nadesłane nie odpowiadają założeniu naszego piśma.

Panu W. K. w Warszawie. Odpowiedzi stanowczej dać panu nie możemy, dopóki praca w liście Jego wymieniona nie zostanie nam doręczoną.

HISTORIA JEDYNACZKA W 32 OBRAZKACH.

(Według pomysłu L. Kunickiego, rysował F. Kostrzewski.)



Nr. 1.
Ukontentowanie ojca z przyczyny przyścia na świat jedynaczka.



Nr. 2.
Ojciec wyprowadza wróżbę, że z jedynaczka będzie kiedyś wielki człowiek.



Nr. 3.
Patrz sąsiedzie, już chodzi pociecha i mówi „papa i mama.”



Nr. 4.
Zabawy jedynaczka z nosem ojcowskim.

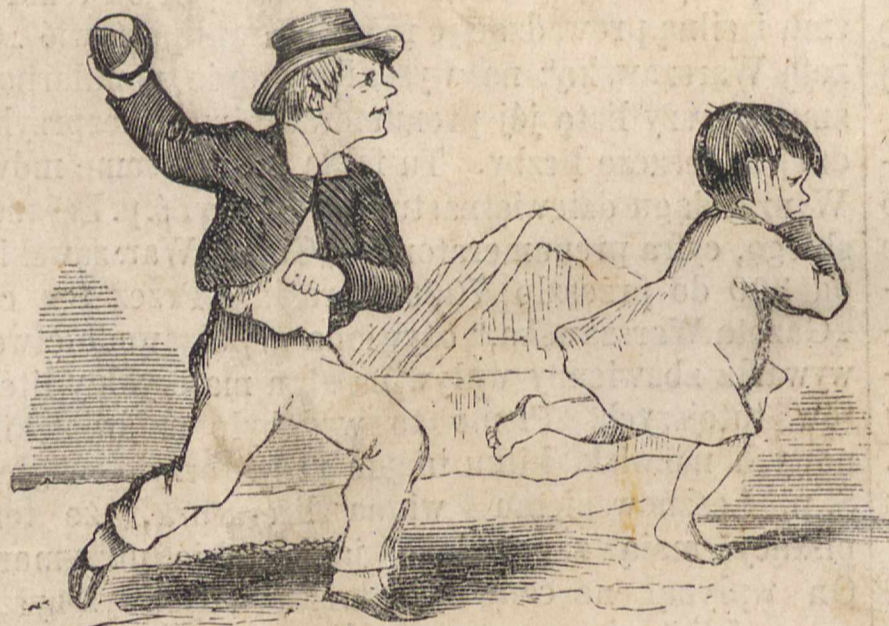


Nr. 5.
Manifestacya jedynaczka przeciwko rodzicom napominającym go aby tak nie swawolił.

Jedynaczkowi czasochodzi w domu rodzicielskim



Nr. 6.
na przewracaniu kozłów,



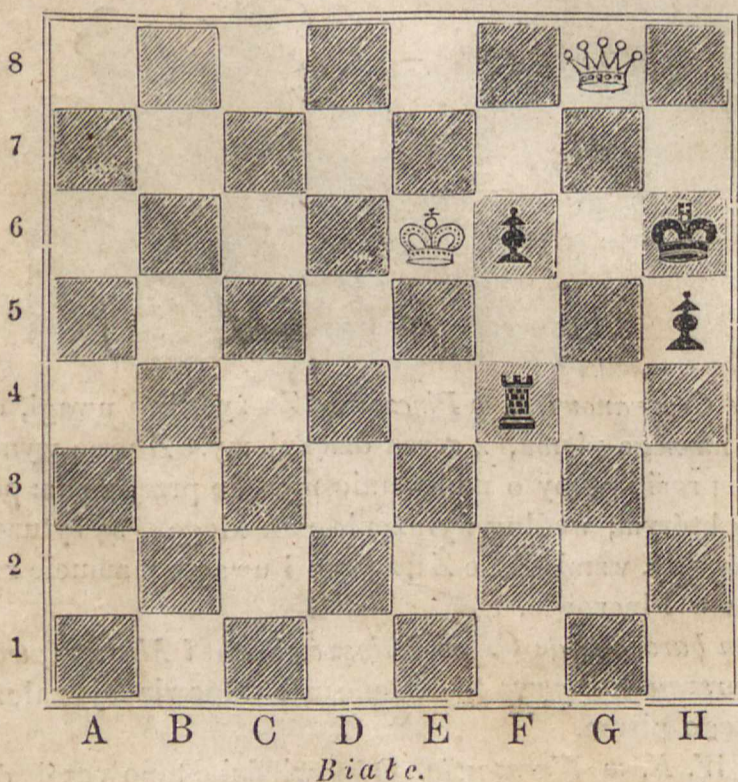
Nr. 7.
na zbijaniu piłką głów dzieci wiejskich



Nr. 8.
i na jeźdźeniu na drewnianym koniku. (d. c. n.)

ZADANIE II. (Białe zaczynają i dają mata za 3 posunięciami.)

Czarne.



Rozwiązanie zadania konikowego, umieszczonego w Nrze 2.

Pierwszy kwiatek wita wiosnę,
Nowe życie, nowe technienie;
Słowika miłuchne pienie
Budzi uczucia radosne.
Jak owo wiosenne kwiecie,
Jak owo wiosenne ptasze,
Przyjmicie chętnie młode dziecię,
Młode dziecię, pismo nasze.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 2.

Myśli występne, zamiary niegodziwe doprowadzą człowieka nieraz na szubienicę.

REBUS.

